

**ROZMOWY
MNICHA**
Z (PRA) SIOSTRZEŃCEM

**LEON
KNABIT OSB**
BARTOSZ
MICHAŁOWSKI

**ROZMOWY
MNICHA**
Z (PRA) SIOSTRZEŃCEM



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Zdjęcia:

Damian Ochtabiński: <https://ochtabinski.pl/>

Projekt okładki:

Jacek Zelek

Redakcja:

Elżbieta Wiater

Korekta:

Agnieszka Nieć

Superiorum permissu: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 17/2016, Tyniec, dnia 22.01.2016 r.

† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze, Kraków 2020 r.

ISBN 978-83-7354-977-7

© Copyright by Bartosz Michałowski 2019

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. (012) 688-52-95; tel./fax: (012) 688-52-91

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

Wstęp

Kto pisze wstęp i dlaczego właśnie ja

Na ogół wstęp do książki pisze ktoś znany, ważny, uczony lub mądry a najlepiej, żeby miał wszystkie te przymioty. Taki autor na ogół podnosi wartość dzieła. Na szczęście wywiadowi z o. Leonem Knabitem, który sam w sobie jest człowiekiem wielkiej wartości, żaden ważny ani szczególnie wybitny człowiek nie musi dodawać prestiżu. Z tego powodu mogę napisać wstęp, choć zawodowo robię rzeczy bardzo odległe od pisania wprowadzeń do mądrych książek.

Kiedy tylko zacząłem w miarę świadomie spoglądać na świat, okazało się że jednym z moich bliskich jest dziwna postać w czarnym ubraniu z kapturem, którą nazywano mnichem albo benedyktynem z Tyńca. Dość szybko też zorientowałem się, że jest on dość dziwny, bo ma dwa imiona: moja Babcia, którą wtedy szanowałem najbar-

dziej na świecie, a nawet zdecydowanie chciałem się z nią żenić, mówiła do niego zdrobniale: „Stefanku”, mimo że był najwyższy w rodzinie. Traktowała go też jak syna i kochała chyba na równi ze mną, z czym z trudem się godziłem. Inne osoby, nie z rodziny, częściej mówiły o nim: „ojciec Leon”. Wtedy już rozumiałem, że to brat Mamusi i jest moim Wujkiem. Przez dłuższy czas natomiast nie bardzo wiedziałem dlaczego, skoro mam swojego Tatusia Zbysia, brat Mamusi, wujek Stefanek, to także ojciec i do tego Leon.

Był on w naszym życiu obecny zawsze. Mimo surowych reguł monastycznego życia (pamiętam opowieść Babci, że jadąc na pierwszą wizytę w klasztorze, zawiozła Synowi czekoladę, a on ją oddał przełożonemu i została podzielona między współbraci; do tego po wizycie pozwolono mu odprowadzić Mamusię jedynie „do pierwszej bramy”) kiedy tylko mógł, starał się nas odwiedzać. Odbywało się to z reguły w ramach urlopu, najczęściej w lecie. Wyczekiwany Wujek przyjeżdżał do wielkiego domu mojej babci, zasiadał przy stole niedaleko otwartych drzwi na wielką werandę i odpisywał na listy. Podziwiałem ma-lutki notesik z zapisanymi „maczkiem” adresami. Tysiąc? Więcej? Kiedy byłem już większy, posy-

łano mnie na pocztę po arkusze znaczków. Wieść o przybyciu Wujka, nawet w świecie bez internetu, roznosiła się lotem błyskawicy. Stary drewniany dom „dostawał skrzydeł”. Przez kilka dni roił się od dawnych znajomych, Babcia odżywała, siostry cieszyły się bratem. Mój Tatuś i Wujek nie zawsze zgadzali się co do polityki – powstała nawet najkrótsza z fraszek: „Wszakże, szwagrze?” – ale szanowali się i lubili.

Dobry, serdeczny dom. Pewnie, że nie bez problemów, ale szczęśliwy i radosny.

Wujek mieszkał w odległym Tyńcu, ale wszyscy z dumą śledziliśmy jego zakonną karierę. Dowiadywaliśmy się, że jest w kolegium redakcyjnym Biblii Tysiąclecia, staje się cenionym rekollekcjonistą, duszpasterzem młodzieży, mistrzem klasztornego nowicjatu, podróżuje, spotyka się z ciekawymi ludźmi. Z licznych wyjazdów przywoził nam rozmaite wieści – a to z królewskiego Krakowa, a to ze spotkań z ciekawymi ludźmi, czasem z dostojnikami Kościoła, nawet z samym kard. Wyszyńskim czy młodszym i mniej znanym kard. Wojtyłą. Przywoził zasłyszane od zaprzyjaźnionych misjonarzy opowieści o misjach w Burundi w Afryce, internetu wszak nie było, ale

słowo czyniło cuda – do dziś pamiętam śpiewaną naukę dodawania w języku suahili:

Modza na modza ni n'ga pi?

Modza na modza ni mbili!

W pamięci pozostał mi też jeden z prezentów, który dostałem, może na piąte, a może na szóste imieniny – był to wspaniały plastikowy okręt na baterie. Jak Mamusia się zgodziła, można było nalać pełną wannę wody i... Wujek powiedział: „Dostaniesz go, ale musisz przez te kilka dni być greczny. Mam przygotowane na prezent dla ciebie 120 zł. Okręt kosztuje 90 zł. Za każdy wybryk odejmujemy 10 zł”. Wystarczyło, choć ledwo ledwo. Nie było łatwo, dzięki temu jednak pierwszy raz w życiu zorientowałem się, że aby coś osiągnąć, trzeba się postarać. Lekcja na całe życie.

Potem ja przyjeżdżałem do Tyńca. Pamiętam jeden dłuższy wyjazd z Tatusiem – kilka dni przeżyliśmy razem z mnichami w rytmie *Reguły* św. Benedykta. Posiłki były w refektarzu. Modlitwa, lektor czyta fragment *Reguły* przed obiadem, opat daje znak drewnianym młoteczką – można jeść. Jemy w milczeniu, a lektor czyta fragment stosownej książki. Biada temu, co nałożył na talerz za wiele – kilkudziesięciu chłopów patrzy, jak się morduje, bo zostawiać nie wypada, a kończymy wszyscy razem...

Czas płynął dalej. Wujek jest z nami, kiedy bierzemy ślub z Anią. Wspiera, kiedy tracimy pierwszą ciążę. Jest na chrzcinach naszego syna Bartka. Bierze udział w jego Pierwszej Komunii. Nie udaje się nam zgrać terminów przy ślubie Dzieci, wtedy towarzyszy „zdalnie” – modlitwą. Ale zaraz potem jest na chrzcinach Wnuczki – Zuzi, a później Frani. Świętujemy dwudziestą piątą rocznicę naszego ślubu. Jest na niej rodzina, przyjaciele, jest Wujek. Wspiera szczególnie, kiedy trzeba przeżyć kolejne pogrzeby: Babci, Cioci, Tatusia, a wreszcie – zbyt wcześnie – mojej żony, Ani. Wujek zawsze jest. Zawsze pamięta. Przyjeżdża, odwiedza, gdziekolwiek los nas zawieje. Patrzą na podpisy na setkach listów: „Pamiętam w modlitwie – br. Leon” albo po prostu „Wujek”.

Często rozmawiam z synem, teraz już dorosłym. Mężem, ojcem swoich dzieci. Pewnie nie jest idealny, ale widzę drogę, jaką przeszedł. To dzielny i mądry młody mężczyzna. Pewnie nie zawsze miałem dla niego tyle czasu, ile potrzebował, nie zawsze wszystko w porę dostrzegłem. Pan Bóg jednak tak kierował naszym życiem i decyzjami – to pewnie przez wyklęczane kolana naszych mam, babć i cioc – że trudne sprawy udawało się albo rozwiązać, albo przez nie przejść.

Narodził się więc pomysł: „Synu, a może byś napisał książkę? Razem z Wujkiem”. Syn był bardzo zaskoczony, więc rozwinąłem ideę: „Coś pod roboczym tytułem *Rozmowa zakonnika z wnukiem*. Tytuł nie przejdzie? Zgoda, nazwijcie ją, jak uznacie za stosowne. Wiesz, my – ty i ja – dużo ze sobą rozmawiamy. O sprawach codziennych, ale także o ważnych i najważniejszych. Często się spieramy, przekonujemy. Nawet czasami wskutek tych rozmów zmieniamy poglądy. Dzisiejszy świat stawia dużo pytań i bardzo trudno znaleźć dobrą drogę. Znacznie łatwiej znaleźć tę łatwą, ale takie rzadko bywają dobre. Lepsze drogi to te właściwe, które trudno wypatrzeć”.

Dziś ludzie mało ze sobą rozmawiają. Rzadko słuchają, niewiele jest ciszy i zastanowienia. Wielu może by nawet chciało, ale nie ma z kim pogadać, a problemów i pytań jest chyba więcej niż kiedyś. Może warto zaaranżować i spisać rozmowę dorosłego już mężczyzny, ale dobrze pamiętającego problemy tych, którzy stoją przed decyzją, co będą uważali za dobre w życiu, a co za złe, z kimś, kto te same decyzje podejmował w całkiem innym świecie, w innych czasach, bo w latach tuż po wojnie. W całkiem innym czasie, w świecie innych wartości, innego wychowania i innych zagrożeń. Z kimś, kto

choć teoretycznie mógł widzieć żywego powstańca styczniowego. Człowiekiem, który jest pomostem od początku XXI w. do połowy XIX w.? Wujek przecież pamięta pogrzeb Piłsudskiego, odsłonięcie, wysadzenie przez Niemców i wreszcie odbudowę po latach siedleckiego Pomnika Wolności, wie co to przedwojenny patriotyzm, przedwojenne harcerstwo, Liga Morska, Centralny Okręg Przemysłowy, ale także wojna i okupacja, utrata ojca, PRL, stalinizm. A ponadto, czym jest: Boża Opatrzność, powołanie, modlitwa, Kościół w świecie, ten przed- i posoborowy, jak przebiegało i przebiega starcie modernizmu z tradycją. Można mu zadać mnóstwo pytań. Jak ważne wybory wyglądają z dwóch perspektyw? Urodzonego 1991 r. i 1929 r.?

Syn odparł: „Jestem za, choć nie będzie to dla mnie łatwe. A Wujek? Zgodzi się?”.

Zgodził się. Nawet nadał sprawie najwyższy priorytet.

Książka już jest, a ja, wyjątkowo uprawniony do napisania jako pomysłodawca całości, zapraszam do jej lektury. Może komuś coś wyjaśni? A może zainspiruje? Może postawi nietypowe, albo i trudne pytania?

Jacek Michałowski







Bartosz Michałowski: Na początek chciałbym wujka zapytać o przedwojenną Polskę, którą wujek może przecież całkiem dobrze pamiętać. Wiemy, jak olbrzymie emocje towarzyszyły odzyskaniu niepodległości. Myślę, że nie będzie nadużyciem, jeśli powiem, że przed 1918 r. w wielu domach stracono nadzieję, że ten dzień kiedykolwiek nastąpi. Pokolenie rodziców wujka miało jeszcze możliwość porozmawiania z powstańcami styczniowymi, gdyż od ostatniego zrywu narodowego do odzyskania niepodległości minęło nieco ponad 50 lat. Młodzież II Rzeczypospolitej wychowywano w atmosferze propaństwowej i patriotycznej. Istniała m.in. Liga Morska, Liga Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej, rozwijało się harcerstwo.

Nie można jednak powiedzieć, że międzywojenna Polska była krajem, w którym panowała społeczna zgoda i jednomyślność. Mieliśmy wybitnych parlamentarzystów, a mimo to w życiu publicznym wrzało bardziej niż dzisiaj. Spierano się o koncepcję polskiej

racji stanu, o kierunek polityki wewnętrznej i zagranicznej. Słyszałem ostatnio, że istniało 20 000 tytułów prasowych. Poglądy różniły sąsiada z sąsiadem. Należy nadmienić, że mieliśmy, w przeciwieństwie do obecnych czasów, prawdziwe, dobrze wykształcone elity, uczciwie wyznawane wartości – a więc inny styl uprawiania polityki. Choć Piłsudski jest bohaterem narodowym, to rządy sanacji dziś coraz częściej się krytykuje za etatyzm, socjalizm, biurokrację, afery finansowe. Nie było to państwo sprawnie zarządzane, zaś działania Piłsudskiego w wielu obszarach u jednych budziły wątpliwości, drudzy je uzasadniali. Mój pradziadek Zbigniew Gabriel Michałowski (legionista, wcześniej konspirator w Polskiej Organizacji Wojskowej, odznaczony weteran I wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej) odwrócił się od marszałka po zamachu majowym (1926). Spierano się o Polskę wtedy, a spór o ocenę dwudziestolecia wśród historyków trwa do dziś. Mimo to II Rzeczpospolita jest wspominana z nostalgią jako ostatni moment w dziejach, kiedy wciąż była żywa polska tradycja. Jako ostatni punkt odniesienia, zanim komuniści próbowali zabrać nam tożsamość, tradycję, historię i religię. Czasy młodości wujka to odmienna rzeczywistość od dzisiejszej. Obecnie w zasadzie żyjemy sobie jak pączki w maśle i nie bardzo potrafimy

sobie wyobrazić, jak to wyglądało przed II wojną światową.

Wtedy czasem dochodziło do zamachów, na Kresach wrzało, miały miejsce ataki na Żydów, nazywane przez jednych zajściami, a przez innych – pogromami, narastały antagonizmy, zamordowano prezydenta Narutowicza, był zamach stanu, dyktat sanacji, wiele osób żyło w skrajnej biedzie. Wujek miał dziesięć lat, gdy zaczęła się wojna. Jak oceniłby Wujek II Rzeczpospolitą w zestawieniu z PRL, a jak – z Polską po 1989 r.? Jak patrzono na dziedzictwo tyłu zrywów powstańczych w zestawieniu z tak zaognioną sytuacją wewnętrzną? Co wujek na ten temat słyszał od osób starszych od siebie?

o. Leon Knabit OSB: Na moje poglądy polityczne i społeczne miała wpływ szkoła. Poszedłem do niej w wieku siedmiu lat w 1936 r., a legalną edukację skończyłem z wybuchem wojny w 1939 r. Wychowywano nas tam w duchu panującego systemu. Szkoła była imienia prezydenta prof. Ignacego Mościckiego. Józef Piłsudski był otoczony tym, co dzisiaj określilibyśmy mianem „kultu jedności”. Do nas, uczniów, nie dochodziły głosy krytyki jego postępowania. O zama-

chu majowym zgoła nic nie wiedziałem ani o Berezie Kartuskiej, ani o bezwzględnie traktowanej opozycji. W domu tych tematów nie poruszano. Tatuś był raczej lewicującym, choć konsekwentnym patriotą, co udowodnił podczas okupacji działalnością konspiracyjną, zakończoną aresztowaniem i śmiercią.

O Piłsudskim nie mówiło się w domu ani dobrze, ani źle. Patriotyczny entuzjazm wzbudzany i pielęgnowany w szkole, nigdy w domu nie był tłumiony. Cała trudna strona II Rzeczypospolitej – sprawa mniejszości, problemy polityczne – omijała nas. Chyba było to celowe działanie dorosłych, a może to właśnie w naszej szkole był taki zestaw nauczycieli, którzy przekazywali dzieciom wiedzę i wychowanie, a problemy polityczne i społeczne zostawiali na potem.

Zostanę na chwilę przy temacie powstańców styczniowych, bo wujek stanowi nieprawdopodobny pomost historyczny między naszymi pokoleniami. Tata mi opowiadał, że jako dziecko wujek widział niektórych z nich, pokazano ich wujkowi, jak ja dzisiaj pokazuję moim

dzieciom powstańców warszawskich. Czy pamięta wujek to doświadczenie?

Wiedziałem, że żyli jeszcze powstańcy styczniowi. Czasem widziałem ich fotografie w specjalnych mundurach, gdy oddawano im honory podczas różnych uroczystości. Była to tylko informacja bez szczególnych emocji poza wyrazami zrozumiałego szacunku.

Kolejne pytanie nie należy do prostych, ale jest ważne. Jesteśmy dziś ofiarami i niewolnikami politycznej poprawności. Żydzi i środowiska filosemickie narzucają zasady dyskusji, która brzmi coraz mniej życzliwie w stosunku do Polski i Polaków. Na różne sposoby próbuje się nas uczynić współwinnymi holocaustu, mówi się o polskim ciemnogrodzie, o szczególnym „polskim antysemityzmie”. Żąda się od nas samobiczowania się za cudze zbrodnie. Dopiero dziś historycy angażują się w próby wytłumaczenia, jak złożony był problem stosunków polsko-żydowskich przed wojną. Nie można też powiedzieć, że Żydzi niczym nam nie zawinili. Więcej, można mówić, iż język politycznej poprawności zadaje kłam faktom. Nie wierzę i nie uwierzę, że antysemickie nastroje w przedwojennej Polsce wynikały jedynie

z biedy, zawiści i prymitywnych pobudek. Historia nie jest czarno-biała, nie składa się z prostych mechanizmów, ludzi wyłącznie złych i wyłącznie dobrych, a z ludzi po prostu. Istnieje wiele relacji ukazujących – łagodnie rzecz ujmując – nieżyczliwy stosunek Żydów do Polaków. Zarówno na poziomie lokalnym/sąsiedzkim, jak i polityki parlamentarnej. Nie chcę, aby było to pytanie z tezą, a wujek odpowiadał mi, przyklaskując mojej tezie. Sprzeciwiam się bruźdzeniu mojemu narodowi, a niektórzy Żydzi robią to w zawołany sposób po dziś dzień. Jak oczami wujka wyglądały stosunki polsko-żydowskie przed wojną? Jakie wujek miał doświadczenia, co zaobserwował, co się mówiło w domu? Jak zmieniła te stosunki okupacja?

Gdy się zaczęła II wojna światowa, szedłem właśnie do piątej klasy szkoły powszechnej. Poprzednie lata chodziłem do szkoły z koleżankami i kolegami Żydami. W pamięci nie pozostały mi żadne wydarzenia, które by świadczyły o jakichś problemach narodowościowych w szkole. W mieście natomiast trwała akcja polegająca na tym, by nie kupować w sklepach żydowskich. Były one bacznie obserwowane przez niektórych ludzi, dzisiaj nie mam pojęcia jakich (chyba

z opcji „narodowej”). Kupującym tam Polakom przyklejano do pleców kartkę wielkości mniej więcej takiej z zeszytu szkolnego. Na niej była nadrukowana czarna świnia z podpisem „TA ŚWINIA KUPUJE U ŻYDA”. Tak udekorowany przeszedł kiedyś przez pół miasta ówczesny proboszcz parafii św. Stanisława, widać nie antysemita, ku zrozumiałemu zainteresowaniu przechodniów. Podczas okupacji niemieckiej Żydzi nie mieli prawa posyłania dzieci do szkół. Pamiętam, jak nasza wychowawczyni na początku roku przy sprawdzaniu listy, najwyraźniej ze starego jeszcze dziennika, wyczytała nazwisko żydowskie i zaraz przeprosiła: „Ich już nie ma”. Potem utworzono getto, w którym zamknięto Żydów nie tylko siedleckich, ale i tych spędzonych z okolicznych miejscowości. Wiadomo, że warunki tam były straszne. Przede wszystkim głód. Mieszkaliśmy wtedy wraz z rodzicami w dzielnicy niemieckiej; dziwnym trafem nas nie wysiedlono. Mamusia zgodziła się pracować u starosty niemieckiego – cywilni urzędnicy niemieccy mieszkali w jednej dużej kamienicy i mieli wspólną stołówkę, w której pracowały Po-

lki – dzięki czemu tato miał pewny lokal do pracy konspiracyjnej, a pracował na poczcie. Co się działo w getcie, wiedzieliśmy od Żydów, którzy byli zatrudnieni przy wykonywaniu rozmaitych posług w prywatnych mieszkaniach niemieckich urzędników. Dzielnicę niemiecką oddzielał wtedy od getta tylko wysoki żywopłot i mocny płot z drutu kolczastego. Tu i ówdzie były w nim słabsze miejsca, a nawet czasem dziura. Tam to wraz z siostrą – jako małym dzieciom było nam łatwiej się prześliznąć – zanosiliśmy ostrożnie menażki z jedzeniem, naszykowanym przez mamusię, a w stosownym czasie odbieraliśmy je puste. Żyd, Henryk Pieniek, uczył mnie jeździć na rowerze. Znał doskonale język niemiecki, więc pomagał mi w nauce, jako że w szkole ten język był obowiązkowy. W któreś święta Bożego Narodzenia Niemcy spalili synagogę. Zginęło wtedy wielu Żydów, ale nie słyszałem, by Polacy się cieszyli z tego powodu. Wielu mówiło, że po nich przyjdzie kolej na nas.

Trudnym przeżyciem była likwidacja getta. Żydzi z Siedlec i z okolicznych miasteczek byli pędzeni na rampę przy dworcu kole-

jowym. Stamtąd wieziono ich, stłoczonych w wagonach towarowych, do pobliskiej Treblinki. Oświęcim funkcjonował wtedy w naszej świadomości jako miejsce kaźni Polaków, a nie Żydów. Widziałem, jak Niemiec zastrzelił Żyda, gdy ten próbował uciec z transportu. Widziałem trupy więźniów leżące przez pewien czas na ulicach wiodących do dworca kolejowego. Żydowscy policjanci byli bardziej gorliwi od polskich przy kierowaniu swoich współwyznawców na śmierć. Wiedziałem, że polscy mundurowi mieli prawo zabierania dla siebie z getta różnych przedmiotów pozostałych po wywiezionych Żydach. Mimo zakazów niemieckich z opuszczonego terenu zabierano po cichu, co się dało. Oczywiście, można było, w imię solidarności, niczego nie ruszać, ale wtedy Niemcy by to zniszczyli lub zniszczałoby samo. Kto przeżył okupację, wie, jakie były wtedy materialne warunki Polaków, co znaczył jakiś mebel lub sztuka odzieży. O ile sobie przypominam, u mnie w domu niczego z getta nie było. Wspomniany przeze mnie Henryk Pieniek przeżył dzięki polskiej pomocy, choć całej swej rodzinie musiał (?)

jako policjant pomóc w wyjeździe na śmierć do Treblinki. Wrócił po zakończeniu działań wojennych i chciał się nawet żenić z moją mamusią. Skończyło się na tym, że została jego chrzestną matką. Chrzest przyjął całkowicie dobrowolnie, z wdzięczności dla chrześcijan i dla Chrystusa. Wyjechał do Kolumbii i kontakt się urwał.

W szkole, do której chodziłem, uczyły się dzieci z warstwy średniej – z miasta i okolicznych wiosek. Ich rodzice nie byli bogaci, ale biedy też zbyt nie widziało. Dzieci żydowskie, z którymi razem się uczyliśmy, były na ogół biedne, chyba nawet biedniejsze od Polaków. Nie pamiętam żadnych zatargów na tle narodowościowym. Żydów było w Siedlcach dużo, prawie połowa mieszkańców. Gdy było ciepło, oblegali w piątkowe popołudnia i soboty (szabat, a więc wolne) ławki w parku i na skwerach. Pamiętam grube matrony w perukach i wielką liczbę dzieci uganiających się po placach zabaw. Jeśli gdzieś ich było za dużo albo doszła do nas wiadomość, że działali na szkodę Polaków (np. w handlu), to mamusia w złości mówiła: „A to parchy, gudłaje”. Byli więc postrzegani

jako ktoś obcy, nawet chyba jako gorsi od Polaków (wśród warstw średnich często powtarzano bezsensowne uogólnienie: „Żydzi zabili Pana Jezusa”. Nie mogły więc ultrakatolickie kumoszki otaczać życzliwością takiego gatunku ludzkiego). Z ust tatusia nigdy nie słyszałem negatywnego określenia Żyda. Nie był to więc antysemityzm wyssany z mlekiem matki, jak się to nam wmawiało i wmawia, ale, że tak powiem, „punktowy”. Jeśli ktoś zrobił coś nie tak, Polacy mieli i mają zwyczaj ostro go wypunktować, a jeśli ten ktoś był czy jest Żydem, to było dla niego okolicznością obciążającą. Chodziły też złowrogie pogłoski, że łapią oni małe dzieci na macę – karmią je, a potem ich krwi używają do produkcji swojego paschalnego chleba. Co do strzępów wiadomości z wyższej półki, jakie docierały do świadomości dziecka, to pamiętam taką, że żydowskie wydawnictwa (chyba m.in. Rój) wydają pozycje obniżające morale Polaków. Natomiast późniejsza sowiecka dominacja nad Polską i niszczenie przez nich naszego narodu wpłynęło zdecydowanie na pogorszenie relacji między Polakami a Żydami. O ile podczas okupacji było

wiele przejawów solidarności wobec wspólnego wroga, to komunizm, którego wielu przedstawicieli było Żydami, przyczynił się do powiększenia antysemityzmu, a nawet powstania go tam, gdzie go dotąd nie było. Potwierdzam wszystko, co wyczytałem w Twoim opracowaniu na ten temat, a które przesłałem Henrykowi Woźniakowskiemu, prezesowi ZNAKU, by znał problem nie tylko od strony enuncjacji Tomasza Grossa. Kiedy w Siedlcach od razu, w 1944 r., było wiadomo, jaką rolę odgrywają nieliczni ocalali Żydzi w służbie bezpieczeństwa i w ogóle w nowych władzach, mamusia powiedziała: „To straszne, co Hitler zrobił z Żydami, ale pomyśl, co by to było teraz, gdyby oni wszyscy przeżyli”. I to mówiła kobieta szczerze współczująca prześladowanym Żydom i pomagająca im w czasach okupacji!

Wszyscy w Europie przyglądali się z poważnymi obawami polityce Hitlera. Jak wujek opisałby atmosferę narastającego napięcia przed wybuchem II wojny światowej? A jakie były nastroje panujące w Polsce w przededniu konfliktu? Czy jest wujek w stanie opisać uczucia towarzyszące Polakom, gdy akt agresji wobec